



Andrzej Banek

Mój dom

* * *

Biała koszula, wyczyszczone ubranie i buty wypucowane przeze mnie do glansu czekały na dzień rozpoczęcia zajęć szkolnych w klasie drugiej. Lubiłem panią, lubiłem szkołę i kolegów, których rok wcześniej poznałem, więc oczekiwałem tego dnia z niecierpliwością. Bardzo się cieszyłem, że to już jutro.

Niestety w piątek nie dane mi było pójść do szkoły. Mama nie pozwoliła. Długo miałem do niej wielki żal o to. Przecież „nasza pani” – moja pierwsza wychowawczyni – wyraźnie mówiła, żeby na inauguracyjne uroczystości przyjść na godzinę 8 rano, 1 września 1939 roku.

Słowo wojna, które usłyszałem zaraz po obudzeniu się zabrzmiało obco. Było oderwane od mojej rzeczywistości. Szkoła wtedy wydawała mi się najważniejsza. Moje wyobrażenie wojny kształtowały książki, czytane – często na głos – przez starszego brata. Tamte wojny jednak, zgodnie z intencją autorów, stanowiły jedynie tło wielkiej przygody. Wszystko było dość odległe, jakoś nierealne, nie dotyczyło mnie ani mojej rodziny, pachniało egzotyką i właśnie wielką przygodą.

Oglądanie przemarszu wojska ulicą Okopową¹, na przemian w lewo i w prawo było swego rodzaju atrakcją, chociaż czułem, że nie jest to parada. Niepokój wzbudzało nerwowe krzątanie się ludzi po ulicach i wykupywanie żywności, po którą trzeba było już stać w kolejkach. A potem coraz częściej słychać było w radio powtarzające się informacje i apele do ludności Warszawy o zachowanie spokoju, przygotowanie się do obrony przeciwlotniczej przez zalepianie szyb okiennych paskami papieru², przystosowanie piwnic do możliwości ukrycia się na wypadek nalotu, przygotowanie zbiorników na wodę i piasek do gaszenia pożarów i wiele, wiele innych zaleceń i ostrzeżeń, a wkrótce i wezwań o pomoc przy ratowaniu ludzi ze zburzonych lub palących się domów. Duże wrażenie robił na mnie głos prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, zawsze ochrypły.

Piwnica zawsze źle mi się kojarzyła jako pomieszczenie ciemne, pełne węgla na zimę, jakichś słoików z przetworami robionymi przez mamę i mnóstwa różnych zakurzonych niepotrzebnych rzeczy. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie jak można „ukryć się” tam, wśród cieni pełzających po węglu

¹ Mieszkaliśmy z Rodzicami i dwoma braćmi w Warszawie, w oficynie dwupiętrowego domu na rogu ulicy Żytniej i Okopowej.

² Muszę tu wyjaśnić, że obowiązywało zarządzenie o zaklejaniu szyb okiennych paskami papieru ukośnie na krzyż, w celu uniknięcia wypadania szyb przy niedużych wstrząsach

i ceglanych ścianach (od drżącego płomyka świecy), w zaduchu dziwnie suchego powietrza? I jak można ukrywać się właśnie w takim okropnym miejscu, a nie w mieszkaniu?

Prawdziwy strach dotarł do mnie dopiero podczas pierwszego nalotu bombowego. Bawiliśmy się na podwórku, kiedy usłyszeliśmy fabryczne syreny ogłaszające alarm lotniczy. W pierwszej chwili nikt się nie chował. Gdzieś daleko słychać było warkot samolotów. Zadarłszy głowę do góry i ja przyglądałem się błękitnemu, czystemu niebu. Nagle jeden z sąsiadów krzyknął: Nasi, leć nasi! Wszyscy zwróciliśmy głowy we wskazanym kierunku i zanim rozpoznaliśmy czarne krzyże na skrzydłach lecących samolotów, wiedzieliśmy, że to nie nasi. Trzy bomby wybuchające co kilka sekund upadły w pobliżu naszego domu. W okamgnieniu podwórze opustoszało i ja nie wiedząc jak znalazłem się w tej nie ulubianej piwnicy. Dom drżał przy każdym kolejnym wybuchu, słychać było brzęk tłuczonych szyb, a potem wszystko ucichło i wkrótce z ulgą usłyszeliśmy syreny fabryczne odwołujące alarm. Mogliśmy wrócić do mieszkań. Bomby na szczęście nie uszkodziły naszego domu. Pożar wybuchł w znajdującej się po sąsiedzku na Żytnej fabryce Webera. Właśnie wtedy – już na całe życie – nauczyłem się kojarzyć głos fabrycznej syreny nie z początkiem czy końcem robotniczej zmiany, a grozą nalotu.

W ciągu kilku dni zorganizowano w całym mieście, na każdym chyba podwórku, dyżury cywilnej obrony przeciwlotniczej (zwane OPL). Pełniły je przez całą dobę 2-3 osobowe zmiany mieszkańców. Oczywiście najgorzej było w nocy, ale nikt się nie wykręcał. Wszyscy lokatorzy solidarnie pełnili ten obowiązek. Którejś nocy, w połowie września, po nalocie poderwał nas na nogi przeraźliwy krzyk jednej z dyżurujących pań: Pali się! Nasz dom się pali!!! W szybach okien oficyny po drugiej stronie podwórka wyraźnie widać było płomienie jakby wewnątrz był ogień. Ale to nie nasz dom płonął, a sąsiedni, dokładnie za ścianą naszego mieszkania, a płomienie buchające ponad dachem odbijały się w tych szybach. Po kilku godzinach jedna ściana była u nas tak gorąca, że musieliśmy odsunąć od niej meble. To wystarczyło, żeby uniknąć kolejnego pożaru

Innej nocy, gdy spałem w najlepsze, głos syren alarmowych poderwał mnie na nogi. Bardzo niechętnie, poganiany przez Rodziców i strach, zacząłem się ubierać. Rozespany, po omacku znalazłem swoje ubranie, ale... noga nie mieściła się w nogawce! Co się stało?! Przecież to ja jestem najmłodszy i gdybym wziął spodnie któregoś z braci, naciągnąłbym je bez trudności. Po chwili zorientowałem się, że usiłowałem włożyć nogę do... rękawa marynarki. Było przecież zupełnie ciemno¹.

Od tego alarmu inaczej przyjmowałem uwagi ojca dotyczące samodyscypliny i porządku. Odtąd też układałem na noc ubranie na swoim miejscu i w takiej kolejności, żebym był w stanie ubrać się nawet z zamkniętymi oczyma.

Kilka takich nalotów wystarczyło, żebym zapomniał żalu do mamy, że nie pozwoliła mi iść do szkoły i zrozumiał, że teraz nie szkoła jest najważniejsza.

* * *

Po kilku dniach do „normalnych” już odgłosów bombardowań dołączyło głuche dudnienie dalekiej artylerii i bardzo głośny huk działa, polskiego działa, które strzelało z podwórza odległej od nas o kilka domów fabryki. Odgłos strzelania brzmiał jakby ktoś uderzał wielkim młotem w ogromną blachę. W ślad za tym, po niebie przelatywał z szumem pocisk widoczny w nocy przez krótki czas jako poszarpany płomień, jak kometa. To strzelanie było o tyle przykre, że przeszkadzało nam spać, ale cieszyliśmy się, że to nasi, że teraz słychać jak my strzelamy do Niemców. Wszyscy jednak mieli świadomość, że nie jest to powód do radości, skoro w środku miasta stoi działo wycelowane w pozycje wroga – znaczy to przecież, że jest on już bardzo blisko, najdalej kilka kilometrów stąd².

Entuzjazm wśród dorosłych wywołała wiadomość o przystąpieniu do wojny Anglii i Francji. Kiedy jednak nic z naszego z nimi sojuszu nie wynikało, wszyscy przestali wierzyć w możliwość rychłego zwycięstwa i dopuścili myśl, że wojna może potrwać dłużej, aż może do końca roku.

Chodziliśmy z chłopakami z podwórka oglądać pewien zniszczony dom na tzw. Budla Polu³. Jakieś małżeństwo w czasie nalotu pozostało tam w swoim mieszkaniu na drugim piętrze. Bomba trafiła w róg tego domu i ścięła go od dachu aż do parteru. Z całego pionu ocalał tylko przyczepiony do wewnętrznych, nie uszkodzonych murów kawałek podłogi na drugim piętrze, na którym stał tapczan z dwojgiem tych ludzi. Można powiedzieć, że cudem przeżyli ten nalot. Musiała przyjechać straż pożarna, żeby ich stamtąd zdjąć. Byli bardzo wystraszeni, ale nic im się nie stało. Oglądałem wiele razy

¹ Warto tu może przypomnieć o obowiązku zaciemnienia, tzn. szczelnego zasłaniania okien na noc, tak aby z zewnątrz nie było widać palącego się w mieszkaniu światła.

² Jeszcze jedno działo stało po zachodniej stronie ulicy Okopowej, między domem nr 29 a ogrodami Wójcickiej (nigdy nie znaliśmy ani nie wiedzieliśmy tej pani, ale tak powszechnie nazywało się ten teren). Od ulicy stał mały domek – apteka, a za nim było to działo przeciwlotnicze. Krótco po kapitulacji bawiliśmy się tym działem, obracając lufą dookoła; wreszcie któregoś dnia Niemcy je zabrali.

³ To był pojedynczy dom mieszkalny za ulicą Młynarską na wysokości Żytnej.

ten tapczan stojący na kawałeczku podłogi i dziwiłem się. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby wyjść cało z takiej katastrofy.

Nie było co jeść. Niektóre sklepy były spalone, inne okradzione. Wobec braku dostaw z zewnątrz, spoza Warszawy, skazani byliśmy na głodowanie.

Któregoś dnia, od przypadkowych ludzi dowiedzieliśmy się, że gdzieś niedaleko leży zabity koń. Ojciec wraz z innymi sąsiadami poszedł go szukać. Na Lesznie, w rejonie Placu Kercelego leżał strzęp konia. Kilka osób kręciło się wokół wykrawając co lepsze kawałki. Nasi dołączyli do tamtych i tego dnia cieszyliśmy się obfitym, mięsnym obiadem. To było wspaniałe jedzenie, smaczne i mogliśmy jeść do syta. Mama udusiła koninę z dużą ilością cebuli i ostrych przypraw, ale sama tego nie tknęła, choć przecież była tak samo głodna jak my. Nie potrafiła zjeść konia.

Jeden z naszych sąsiadów wychodząc z domu często mówił: Idziemy ratować! Ratowanie w jego rozumieniu polegało na tym, żeby jak największą ilość materialnych dóbr ocalać... przed innymi, czyli wszystko, co się da, zabrać dla siebie. Pewnego dnia, kiedy znowu nie było co jeść, mój brat poszedł z nim, żeby uratować coś i dla nas. Szybko trafili na sklep zniszczony właśnie przez wybuch bomby. Sąsiad ze swymi kolegami wszedł do środka i wybierał co najlepsze. Brat krępował się wejść. Sięgnął więc tylko przez rozbitą szybę wystawową i dźwignął ogromny krąg żółtego sera zapakowanego szczelnie cynfolią. Pod drugą pachą udało mu się zmieścić drugi. Drobnym kroczkiem poczłapał w stronę domu, dumny ze wspaniałej zdobyczy. Tego dnia nie udało się jednak zaspokoić głodu. Imponujących rozmiarów sery... okazały się atrapami zrobionymi z drewna i stanowiły jedynie dekorację wystawy sklepu. Brat bardzo się wstydził, a my śmiałyśmy się. Wtedy nie wydawało nam się to okrutne. W pamięci została mi jego wielka radość ze wspaniałej zdobyczy a potem jego wielkie zażenowanie.

Kilka dni później dowiedzieliśmy się od innego sąsiada, że w piekarni na Krochmalnej można kupić chleb. Tata poszedł tam o świcie. Długo nie wracał. Wreszcie, już po południu, przyszedł do domu cały szary, dziwnie zakurzony, z dużym bochenkiem chleba za pazuchą. Opowiadał, że długo czekał w kolejce aż chleb się upiecze i modlił się w duchu, żeby starczyło, bo było dużo chętnych. Kiedy ojciec już wchodził do piekarni, wybuchł w pobliżu pocisk artyleryjski, przewrócił Go i ogłuszył. Na chwilę stracił świadomość, potem wygrzebał się z ziemi, otrząpał i wrócił do kolejki. Ktoś podał komuś rękę, ktoś pomógł komuś się podnieść, a na samym środku ulicy leżała młoda kobieta, tylko trochę przysypana przez wybuch i nie ruszała się. Nie miała tyle szczęścia co ojciec i wszyscy inni. Była za blisko wybuchu. Leżała na ziemi martwa ściskając w rękach twardy, popękany chleb. Po chwili została sama, chleb zniknął. Dla tych co przeżyli, głód okazał się silniejszy niż strach¹.

Przez kilka kolejnych dni ojcu dzwoniło w uszach od tego wybuchu, ale wkrótce wszystko wróciło do normy. Pozornie, bo już w roku 1941, zaczął coraz gorzej słyszeć. Pod koniec wojny doszło do tego, że żeby usłyszeć trzeba było bardzo głośno mówić bezpośrednio do ucha. Inaczej nie można było się z Nim porozumieć.

* * *

W wielu domach, w centralnym punkcie podwórka stały figurki Matki Boskiej, często z aureolą z małych lampek elektrycznych. W naszym domu figurka stała w małej niszy, między oknami gospodarza domu². Pewnego dnia kilka pań znanych z niezwyklej pobożności zbudowało pod tą Bożą ołtarzyk. W układaniu świętych obrazków i świec pomagała im mieszkająca w naszym domu kobieta, słynąca z awanturniczego raczej trybu życia. I to ona najczęściej przynosiła na ten ołtarz świeże kwiaty. Tutaj codziennie wieczorem, już po godzinie policyjnej, zbierała się spora grupa lokatorów naszego domu i prawie wszystkie dzieci, żeby przez co najmniej godzinę wspólnie odmawiać głośno Ojciec nasz, potem Zdrowaś Mario i Wierzę w Boga... Potem były litanie. Kyrie elejson, Chryste elejson – zmiłuj się nad nami. Od zła wszelkiego – wybaw nas Panie. Od głodu, ognia i wojny – zachowaj nas Panie... W głębi mojego dziecięcego serca bardzo przejmowałem się tymi, wypowiedzianymi głośno słowami i po takich modlitwach kładłem się spać spokojny o noc i kolejne jutro. Wydawało mi się, że teraz to już nic nam nie grozi a wojna lada dzień skończy się.

W dalszym ciągu jednak przeraźliwie wyjące syreny budziły nas wielokrotnie w ciągu nocy, ogłaszając totalne panowanie zła. Oczywiście dziś tak to widzę, po 54 latach, wtedy – z jeszcze większą żarliwością wracałem do modlitw. Naszymi prośbami nie racz gardzić, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać!... Ja przeżyłem. Ale czy to znaczy, że zostałem wysłuchany? A inni? Oni też modlili się o to samo. Może nawet żarliwiej niż ja.

¹ Ten chleb kształtem przypominał duży, płaski talerz odwrócony do góry dnem. Nie mógł wyrosnąć, bo nie było zakwasu ani tym bardziej drożdży. Taki sam chleb jadłem jeszcze raz w pierwszych dniach Powstania; wystąpiłem go na którejś zmianie oczekujących w kolejce na Długiej, pod numerem 2.

² Gospodarzem nazywaliśmy właściciela domu, a nie – jak po wojnie – dozorcę

* * *

Jeden z kolegów z podwórka, Edek, należący do śmietanki łobuziaków źle czuł się w swojej piwnicy. Dewotki, których w jego klatce schodowej mieszkało bardzo dużo, dokuczały mu ciągle, że bomby, naloty i cała ta wojna to zasługa takich jak on. W czasie jednego z nalotów przyszedł do nas. Przy dopingu strachu każdy coś tam mówił, nawet my, dzieci, które dopiero uczyły się dorosłych pacierzy. Wszystko sprowadzało się do prośby, aby bomby, akurat te które teraz lecą, nie spadały na nas. Najpierw ci-chutko, w głębi drżącego serca: Oj Boziu kochana. Żeby tu bomba nie wpadła. Potem szeptem to samo. A w miarę zbliżania się odgłosów wybuchających bomb coraz głośniejsze i głośniejsze. Jakbyśmy chcieli przekrzywić ten huk i strach i odepchnąć nieszczęście od naszego domu. Tym razem bomby upadały blisko, coraz bliżej. Jedna upadła na podwórko, druga trafiła w krawędź domu i zniszczyła część jednego mieszkania, trzecia tuż obok – na ulicę. Nikt nie kontrolował już tego co mówił ani tego co krzyczał. Kiedy bomba trafiła w dom, wszystko się zatrzęsło, pył nie pozwalał normalnie oddychać a świece zgasyły, Edek wykrzyczał: Oj, Boziu kochana, żeby tu bomba wpadła! Wiedzieliśmy, że to strach przekreślił jego słowa, że się pomylił, że zrobił to bezwiednie, ale nie darowano mu tego. Jeszcze przed odwołaniem alarmu musiał się wynieść z naszej piwnicy.

Może to z powodu pomyłki w modlitwie tego łobuziaka Edka, którego Pan Bóg jakoś szczególnie uważnie słuchał, bomby spadały ostatecznie tam gdzie nie trzeba i przegraliśmy tę wojnę? Pod koniec września Niemcy weszli do mojego miasta, zabrali działa, które do nich strzelały, kazali – pod karą śmierci – oddać wszystkie odbiorniki radiowe i założyli uliczne głośniki zwane szczekaczkami. A potem wymordowali mnóstwo ludzi i wyniszczyli kraj. Podobno jeszcze w 1939 roku była nawet defilada na ulicach Warszawy, którą przyjmować miał sam fuhrer, ale o tym dowiedziałem się dopiero po wojnie. Ciekawe, że żadna rozmowa dorosłych na ten temat nie została mi w pamięci.

* * *

Na samym początku okupacji zabrano budynek mojej szkoły dla organizacji Todta¹. Publiczna Szkoła Powszechna nr 90 przy ulicy Karolkowej, chyba 64, straciła swoją stałą siedzibę. Pan kierownik Godlewski, jego prawa ręka – pani Maria Szporkówna i moja pierwsza wychowawczyni pani Maria Mosiądzowa oczywiście uczyli nas nadal. Zaczęła się tułaczka po różnych budynkach szkolnych w naszej dzielnicy. Najpierw na krótko trafiliśmy do szkoły na Lesznie, po wschodniej stronie Placu Kercelego². Tam właśnie przyglądaliśmy się z okna klasy zburzonemu w połowie domowi. Na jednym z wyższych pięter pozostała pokryta glazurą ściana kuchni. A tam na haczyku wisiał sobie jak dawniej... durszlak. Pamiętam, że czapy śniegu przemieniły ruiny tego domu w prawdziwe góry. Z kolegami wspinaliśmy się na nie i zjeżdżaliśmy w dół, najczęściej na pupie (narażając się tym na lanie za podarte spodnie), ale również na teczkach.

Po wielu zmianach³ umieszczono nas na dłużej w szkole na rogu Leszna i Żelaznej w domu z napisem COLLEGIUM na frontowej ścianie. Stamtąd właśnie pamiętam pewien jesienny dzień, kiedy jedna z koleżanek – Mirka (w której wszyscy podkochiwaliśmy się) – przyszła na lekcje zapłakana i roztrzęsiona. Podejrzewając, że po drodze zaczepiali ją jacyś obcy, zadeklarowaliśmy pomoc i gotowość dokonania zemsty na łobuzach. Ona jednak milczała. Na pierwszej lekcji kierownik szkoły przerwał zajęcia i bez żadnego wyjaśnienia zakazał chodzenia w kierunku Placu Bankowego. Tam gdzieś mieszkała Mirka. Można się domyślać, że kilku z nas, zaintrygowanych tym zakazem, poszło właśnie w tę stronę. Nad murem stojącym wzdłuż ulicy Leszno, prawie naprzeciw gmachu sądów, zobaczyliśmy kilkudziesięciu mężczyzn powieszonych na balkonach domu po stronie getta. Staliśmy porażeni widokiem przekrzywionych nienaturalnie głów i sinych twarzy tych ludzi. Nie zauważyłem kiedy podszedł żandarm i ze słodkim uśmiechem przepędził nas stamtąd. Do domu wracałem biegiem, ale gonił mnie tylko strach. Bardzo długo prześladował mnie ten obraz.

W 1943 uczyłem się w innym budynku, również na Żelaznej, ale trochę bliżej ulicy Żytniej. Któregoś dnia mają obserwaliśmy z okien sali lekcyjnej jak żołnierze niemieccy za murem getta z miotaczami ognia przechodzili od domu do domu systematycznie wstrzykując strugi ognia do wnętrza pustych mieszkań. Byli bardzo zdyscyplinowani i doskonale zorganizowani – Ordnung must sein – co pewien czas wracali do już podpalonych okien i „dolewali” ognia, bo słabo się paliło. Tak niszczyli miasto, tak niszczyli to, co pozostało jeszcze po Powstaniu w getcie.

¹ Niemiecka organizacja zajmująca się budownictwem na terenach okupowanych.

² Dziś w pobliżu na jej miejscu stoi parterowy budynek banku.

³ Z Leszna szkoła przeniosła się na Młynarską, do tramwajarzy, a wkrótce potem na Bema, w pobliżu Wolskiej. Później na Miedzianą, gdzie chodziliśmy na dwie zmiany i to co drugi dzień – po prostu nie było gdzie się uczyć...

W 1944 roku znów przeniesiono moją szkołę na narożnik Żelaznej i Leszna. Pani Mosiądzowa uczyła mnie aż do wybuchu Powstania. Kilkanaścioro z nas dodatkowo chodziło do niej¹ w roku 1943/1944 na nielegalne komplety z historii Polski. W moim mieście, w moim kraju uczyłem się historii ojczystej nielegalnie, w prywatnym mieszkaniu nauczycielki!

* * *

Pewnego dnia grupa robotników kierowanych przez żołnierzy niemieckich ustawiała zasieki przy naszym domu, w poprzek ul. Żytniej. Wejście z tej strony zostało zablokowane. Od tych ludzi dowiedzieliśmy się, że Niemcy wydzielają część miasta – dzielnicę zwaną Muranowem – wyłącznie dla Żydów. W ciągu jednego dnia dotarło do nas zarządzenie o konieczności bezzwłocznej przeprowadzki do mieszkania zwalnianego przez Żydów w rejonie nie objętym gettem (wtedy pierwszy raz usłyszałem to słowo). Jeszcze tego samego dnia „otrzymaliśmy propozycję zamiany” od Żyda, który do tej pory mieszkał na Karolkowej w pobliżu Leszna. Jego mieszkanie znajdowało się na I piętrze i było większe niż nasze, ale miało bardzo zniszczoną podłogę – znajdowała się tam bowiem wytwórnia guzików. Mama zabrała się za porządkowanie mieszkania, zwłaszcza szorowanie podłogi zabrudzonej mieszaniną zwyczajnego kurzu i smarów czy olejów technicznych, a my – za przenoszenie najpotrzebniejszych rzeczy. Po kolejnej turze zatrzymałem się dla odpoczynku przy drzwiach, w miejscu, które mama miała właśnie szorować. Cofając się przed mokrą ścierką trąciłem stojący za mną gąsior. Rozleciał się na drobne kawałki, z których jeden wyciął mi spory plaster nogi. I tyle było ze mnie korzyści przy tej przeprowadzce; zresztą nie dokończonych. Okazało się bowiem, że ta część Żytniej nie będzie jednak przyłączona do getta. Pod wieczór musieliśmy powtórzyć całą przeprowadzkę, tyle że w drugą stronę. Zasieki na ulicy jednak pozostały, a wkrótce zastąpiono je murem. Choć niczemu on nie służył, nikt nie ośmielił się go rozebrać. Stał tak aż do Powstania.

* * *

Latem, było to chyba w 1942 roku, kiedy odwiedziłem mojego Stryja w jego dwupokojowym mieszkaniu w czynszowym domu przy ul. Stalowej, zdarzyło się coś wyjątkowego. Pokoje tam były w amfiladzie. Goście oczywiście przyjmowani byli w tym pierwszym, dużym pokoju z balkonem. Do drugiego – sypialni – jak daleko sięgam pamięcią, nie wchodziłem. Tym razem, podczas rozmowy, usłyszałem jakieś szelesty dochodzące z sypialni, otworzyły się drzwi i ukazała się nieznajoma. Dość tęga, niemłoda kobieta dopiero teraz zauważyła, że przyszedłem. Po chwili konsternacji stryj przedstawił nas sobie i wytłumaczył mi dlaczego tu jest. Było to ryzykowne, bo dziecko miałem wtedy 11 lat – jak to dziecko, mogło kiedyś komuś wyjawić tajemnicę przechowywania Żydówki. Byłby to wyrok śmierci dla Całej rodziny. Znane były wtedy takie tragedie. Stańmo na tym, że obiecałem, że nikomu o tym nie powiem i słowa dotrzymałem. Potem wielokrotnie widywałem tę panią i niekiedy rozmawialiśmy, głównie o książkach, które wtedy czytałem. Ona przeżyła wojnę, a Stryj uhonorowany został medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata i jego imię nosi jedno z jerozolimskich drzew.

Od zamknięcia Żydów w getcie prawie co dzień widywałem młodych chłopców, którzy przedostawali się na naszą stronę znanymi sobie tylko przejściami np. przeciskali się między murem getta a jezdnią przy rynsztoku. Widziałem wielokrotnie jak jeden z nich przychodził do naszego domu po ziemniaki, cebulę i inne warzywa. Oczywiście nie od frontu – wchodził do sklepu od zaplecza i wychodził ukradkiem przez podwórze z wypchaną jedzeniem bluzą przewiązaną sznurkiem. Pewnego dnia, kiedy obładowany takim towarem skierował się do wyjścia z podwórka ni stąd, ni z owąd pojawił się Fajonsek (syn sąsiadów, który już w końcu 1939, pokazywał się w mundurze hitlerjugend²). Wyjął zza pasa nieduży bagnetek, rozciął przestraszonemu chłopakowi bluzę, wysypał na chodnik ziemniaki i jakieś zielone warzywa, kopnął go parę razy, zagroził, żeby tu więcej nie przychodził i wyrzucił za bramę, głośno się śmiejąc. Niestety koledzy z podwórka przyglądali się temu spokojnie, jakby z milczącą akceptacją.

¹ Mieszkała gdzieś przy ulicy Granicznej, w bardzo ciemnym podwórzu-studni i tak samo ciemnym mieszkaniu

² Tak przezywaliśmy młodego Redanta. Jego rodzina mieszkała w naszym domu odkąd pamiętam. Na początku wojny rodzice Fajonska podpisali volkslistę, czyli uznali formalnie, że są Niemcami, a jedynie okoliczności zmusiły ich (lub ich przodków) do (pozornego) związania się z nacją tubylczą. W 1944, Fajonsek brał udział w ulicznych łapanekach w brudnym mundurze gestapo. Moja mama i jedna z sąsiadek widziały go w jednej z takich akcji na Mokotowie, na rogu Puławskiej i Rakowieckiej.

Pewnego dnia, kiedy zadowolony odchodziłem od okienka fabryki Majdego z zakupionym towarem¹, zauważyłem, że dzieje się coś niedobrego. Niemiecki żołnierz w mundurze koloru feldgrau bez żadnego stopnia szarpał jakiegoś przechodnia. Ten człowiek był nie ogolony i... przypominał Żyda. Żołnierz publicznie kazał mu się obnażyć, żeby udowodnić, że jest aryjczykiem, że nie jest obrzezany.

Kiedy indziej przed naszym domem zwyczajny żołnierz niemiecki zatrzymał Żyda z trudem pchającego przed sobą wózek tzw. ostatniej posługi. Szedł on Okopową w stronę cmentarza żydowskiego. Żołdak najpierw pobił Żyda za to, że przepaska z gwiazdą Dawida na rękawie była mało widoczna, a potem kazał mu otworzyć drzwiczki tego wózka, wyjąć pierwszego trupa (to był nagi szkielet obciążony skórą) i znalazł dwa, wciśnięte między ciała, bochenki chleba! Wyrzucił je na chodnik, trupa kazał włożyć z powrotem do wózka, pobił jeszcze raz prowadzącego ten karawan człowieka i kazał jechać dalej. Kiedy dziś mówi się o rachunkach, jakie wypędzeni ze Śląska i Pomorza Niemcy chcą wystawić Polsce, myślę również o polskich Żydach. O tych w wózku z przemycanym chlebem, o tych którzy tego chleba nie dostali i o tym, który pchał wózek. Oni na pewno nie wystawią żadnego rachunku.

Latem 1942 roku, idąc do Machlejda na darmową zupę dla biednych byłem świadkiem zamordowania przypadkowego przechodnia przez przejeżdżający wojskowy samochód z towarzyszącymi mu trzema motocyklami². Pędzili oni z dużą prędkością w stronę ul. Żelaznej. Usłyszałem głucho uderzenie i zobaczyłem toczące się za samochodem ciało, a właściwie krwawe, poszarpane szczątki ludzkie. Niemcy zatrzymali się kilkadziesiąt metrów dalej, obejrżeli się na to co pozostało z zabitego i odjechali jakby nic się nie stało. Na klamrach ich pasów był napis Gott mit uns! Czy rzeczywiście mógł być z nimi?

* * *

W 1942 roku mój ojciec ciężko zachorował. Musiał poddać się operacji żołądka. Dokonał tego w tzw. ewangelickim szpitalu na Karmelickiej znakomity chirurg i wspaniały człowiek, doktor Jurewicz. W częstych momentach zwątpienia, on właśnie podtrzymywał mamę na duchu. Zawsze zaczynał: Serdeńko, nie martw się... będzie dobrze. Ty jesteś bardzo bogata – masz trzech synów! Masz dla kogo żyć. Potem dowiedzieliśmy się, że na początku wojny stracił swojego jedynego syna.

Zapamiętałem Go jako dobrze zbudowanego, wielkiego mężczyznę o olbrzymich dłoniach.

Operacja była bardzo ciężka. Trwała niespełna 8 godzin, ale udała się.

Rekonwalescencja była jednak długa. Mama musiała iść do pracy³ a bracia i ja próbowaliśmy Jej pomóc jak potrafiliśmy. Podjęliśmy handel papierosami. Kupowaliśmy je na tzw. giełdzie⁴ po cenach hurtowych, a sprzedawaliśmy nieco drożej, na sztuki – dosłownie, często po 2, 3 papierosy – na ulicy, w pobliżu domu. Paliło się wtedy Machorkowe (pakowane w metalowych puszkach po 100 sztuk), Klubowe, Ekstra Płaskie, Mewa, Egipskie i niemieckie Juno (te były w paczkach po 20 sztuk). Sprzedawaliśmy również tzw. swojskie (czyli swojaki), robione w domu. Liście tytoniu kupowało się nielegalnie, kroilo na desce do mięsa, a potem nabijało w gilzy⁵ za pomocą specjalnej maszynki do robienia papierosów.

Zarobek z tych papierosów był niewielki, a dla fasonu sprzedawca musiał też trochę popalać. Niezbyt nam to odpowiadało. Przerzuciliśmy się więc na kartofle. Wcześniej rano jechaliśmy tramwajem do pętli⁶. Potem trzeba było przejść jeszcze kilometr czy dwa i „polować” na rolników wiozących kartofle do Warszawy. Po obejrzeniu towaru i uzgodnieniu ceny, zarzucało się worki na plecy i marsz z powrotem do pętli tramwajowej. W mieście ustawialiśmy na ulicy worki i wagę i „sklep” był gotowy. Po pewnym czasie bracia znaleźli zatrudnienie w fabryce, na mnie spadły więc liczne obowiązki domowe.

Właśnie w czasie okupacji czytałem, wraz z najstarszym bratem, bardzo dużo książek, głównie przygodowych – London, Curwood, Wallace, Karol May... Co najmniej jedną książkę dziennie wypożyczaliśmy z biblioteki na Żelaznej (to była mała, ciemna „dziupła” między Leszmem a Żytnią). Zdarzało

¹ Piszący te słowa był pewien czas ulicznym sprzedawcą. Fabryka Majde i S-ka (na ul. Okopowej, blisko Leszna) miała okienko na ulicy i przez nie, przez jakiś czas można było kupować po cenach fabrycznych mydło w rodzaju dzisiejszego „Białego jelenia”, świece oraz tzw. mydło toaletowe... z gliną w środku. Nie wiem czy dziś ktokolwiek odważyłby się szorować takim mydłem garnki, wtedy jednak służyło ono ludziom do mycia. Ponieważ przez dużą część roku my, dzieci, chodziliśmy boso, było co tą gliną skrobać. Reklamowałem to – pożałuj Boże – mydło hasłem: Mydłem Majdego umyjesz każdego!

² Na Chłodnej, w pobliżu skrzyżowania z Wronią.

³ Mama pracowała przy ul. Leszno w firmie Bacutil, produkującej m.in. konserwy mięsne dla wojska.

⁴ Na ulicy Chłodnej w pobliżu Towarowej.

⁵ Gilza – tekturowa rurka, z filtrem lub bez, zakończona z jednej strony bibułką na tytoniu.

⁶ Jeździliśmy do pętli przy małym kościółku za cmentarzem katolickim na dalekiej Woli.

się, że czytałem w ciągu dnia kosztem zajęć domowych, żeby nadążyć za bratem. Oboje Rodzice i bracia pracowali, tylko ja nie. Zatem moim podstawowym obowiązkiem po powrocie ze szkoły było przygotowanie obiadu czyli obranie kartofli. Niby nic, a jednak to była duża praca. Było naprawdę chudo, więc jedliśmy duże ilości tego, co w ogóle było dostępne. Prawie codziennie musiałem obrać na obiad koło 5 kilogramów tych kartofli (to był cały obiad)! Żeby jednocześnie nadążyć za bratem, który – jako że znacznie starszy – czytał dużo szybciej niż ja, wykonywałem to nieszczęsne obieranie czytając jednocześnie. Można sobie wyobrazić ile tych – było nie było – cennych kartofli zmarnowałem. Nie miałem możliwości śledzenia krzywizny kartofla i prowadzenia noża w ślad za jego kształtem, mając na głowie Indian i podążając za Old-Surehandem. Cięcia były proste, a obierki grube. Kiedyś ojciec, wróciwszy nieco wcześniej z pracy nakrył mnie na tym niecnym procederze. Awantura była jak się patrzy. Od tej pory musiałem być czujniejszy. Zarówno wobec napadów Czerwonoskórych, jak i kartofli.

W listopadzie trafiła mi się gratka, dzięki której zostałem zwolniony z tych bardzo nie lubianych prac. Zupełnie samodzielnie zarabiałem całkiem niezłe pieniądze. Kolega ze szkoły, Dyziek – Dionizy Maciak – polecił mnie sąsiadowi z podwórka na Staszica do pracy przy produkcji gwiazdek na choinkę. Dość szybko opanowałem tajniki tej sztuki i wkrótce robiłem, nie chwając się, przepiękne gwiazdki. Żalowałem tylko, że praca skończyła się w okolicy Bożego Narodzenia.

* * *

Kiedy piszę o tym okresie wojny, nie mogę nie wspomnieć o butach. Nosiliśmy je, ma się rozumieć, tylko wtedy, kiedy było zimno. Skórzane obuwie było drogie i nie było nas na nie stać. Pokazały się tańsze buty – drewniane. Cholewki były wykonane ze skóry, a spód z drewna. Górna powierzchnia o kształcie zbliżonym do ludzkiej stopy kwalifikowała takie buty do kategorii lepszych, płaska – do pospolitych. Najtańsze, wprawdzie najmniej trwałe, były sosnowe. Trzeba tu dodać, gwoli sprawiedliwości, że drewniaki były ciepłe. Noga mogła marznąć od góry, ale spód idealnie chronił przed zimnem. Mimo to nie chciałbym więcej chodzić w drewniakach. Nawet po 50 latach od zakończenia wojny dziwię się, kiedy widzę, że ludzie kupują podobne buty i jeszcze płacą za to spore pieniądze. Nawet jeżeli mają one odpowiedni kształt.

W pewnym okresie tylko najstarszy brat miał skórzane buty. Nosił je wyłącznie od święta, a my (drugi brat i ja) – w nagrodę za jakieś zasługi. Nie mieliśmy kieszonkowego, więc „premią” była np. zgoda na łyżwy. Przykręcało się je do butów. Kiedyś i ja dostałem taką premię. Poszedłem na wymarzoną ślizgawkę, na Wenecję. Wróciłem po kilku godzinach szczęśliwy, ale i wymęczony do granic wytrzymałości, z powykręcانymi w kostkach i kolanach nogami, bo te buty były o wiele za duże – dokładnie „ze starszego brata”. Zresztą wtedy wiele rzeczy nosiłem po braciach. Tak było oszczędniej.

Wenecja¹ to lunapark, dziś określany jako wesołe miasteczko. Latem główną atrakcją były przede wszystkim różnej wielkości huśtawki i karuzele – małe dla maluchów, średnie dla większych dzieci i duże, z siodełkami na łańcuchach dla dorosłych. Można było skorzystać z niektórych bezpłatnie, co nie znaczy za darmo. Tylko duża karuzela miała napęd elektryczny. Pozostałe napędzane były ludzką siłą, głównie takich niedorostków jak ja, którzy chcieli się przejechać, a nie mieli pieniędzy. Za zgodą operatora wchodziło się do wnętrza takiej karuzeli i tam, chodząc dookoła głównego masztu i popychając ruchomą, wirującą część, napędzało się mechanizm sprawiając radość tym, którzy zapłacili. Po 10 takich kursach uzyskiwało się prawo do jednorazowej przejażdżki bez biletu.

Była tam „beczka śmiechu”, czyli urządzenie (o napędzie elektrycznym) do badania wytrzymałości śmiałków, próba sił z młotem a również z czołgiem popychanym po specjalnych szynach. Kiedy wystarczająco mocno pchnęło się ten czołg, to po osiągnięciu najwyższego poziomu strzelał (chyba z „korka”) i zjeżdżając pod spodem konstrukcji szynowej wracał do punktu wyjściowego. Największą atrakcją dla mnie był zjazd na linie z dość wysokiej wieży. W rękach trzymało się specjalny uchwyt zakładany na tę linę. Był i gabinet luster, i strzelnice z wiatrówkami, zamienione z czasem na rzucanie piłki do celu i wiele innych atrakcji dostępnych za niewielkie pieniądze dla okolicznych mieszkańców.

Zimą Wenecja słynęła z prawdziwej, ściennej mrozem, ślizgawki.

* * *

Po ogłoszeniu przez szczekaczki komunikatu o katastrofie lotniczej w Gibraltarze, w której zginął generał Sikorski, wielu mieszkańców komentowało tę tragedię na podwórku. Dzień był pogodny, ciepły, niebo błękitne, bez jednej chmurki. W pewnej chwili na tle nieba zauważyliśmy świetlisty, jasny punkt. Było to dziwne, bo on wisiał jakby w jednym miejscu. Nie mógł to być błyszczący w słońcu

¹ Wenecja zajmowała północno-wschodni narożnik skrzyżowania ul. Wolskiej i Młynarskiej aż do Leszna. Dziś stoi na tym terenie dom handlowy Wola, do niedawna czynne kino W-Z i lokale gastronomiczne.

samolot, a helikoptery nie były wtedy znane. To coś trwało w powietrzu przez chwilę nieruchomo, po czym niezwykle szybko wzniosło się pionowo do góry. W miarę oddalania wyraźnie zmniejszała się intensywność świecenia tego punktu. Dorośli nie zwrócili na to uwagi, tylko my, dzieci, obserwowaliśmy tę „gwiazdkę” aż do jej zniknięcia gdzieś hen w niebie. Dopiero po wielu latach, kiedy dużo pisano o UFO, wydobyłem z zakamarków pamięci zapisane gdzieś głęboko wydarzenie.

* * *

Pamiętam, że przeszliśmy kiedyś z kolegami z podwórka przez zniszczony mur na teren dawnego stadionu Skry¹, zwanego popularnie Nędzą. (Od początku wojny Niemcy zamknęli stadion, otaczający mur uzbili w tłuczone szkło zabetonowane na górze i wewnątrz przez pewien czas ćwiczyli jazdę na motocyklach z koszami). Teraz już nikt niczego tu nie pilnował, teren był pusty. Treningowe boisko znajdujące się przy ulicy Okopowej było świeżo skopane i nierówne. W wielu miejscach z ziemi wystawało coś, co przypominało czarną sierść. To były ludzkie włosy! Na dawnych boiskach urządzono masowe groby umarłych z głodu i chorób oraz zamordowanych w getcie Żydów².

* * *

Pamiętam że to był wtorek. Byłem umówiony ze starszymi braćmi około godziny 15 na Grzybowskiej, jakieś kilkadziesiąt metrów na wschód za ulicą Ciepłą. Była tam filia fabryki Doeringa³, gdzie bracia pracowali fizycznie. Czekając na nich snułem się tam i z powrotem nie tracąc z oczu wejścia do fabryki. Ruch na ulicy był tego dnia bardzo duży. I było co oglądać. Jedni spieszyli się gdzieś, nawet biegli, inni dźwigali jakieś towary do i ze sklepów, jeszcze inni – i ci najbardziej utkwili mi w pamięci – zachowywali się „podejrzanie”. Różnili się od pozostałych przechodniów przede wszystkim ubraniem. Tylko oni mieli popelinowe płaszcze, niektórzy z nich oficerskie buty, a trzeba wiedzieć, że był to naprawdę ciepły dzień. Wszyscy oni szli w stronę Ciepłej. Jedni powoli jakby spacerem, przyglądając się jednak bacznie dookoła. Po dojściu do skrzyżowania z Ciepłą jakby się komuś kłaniali. Zaintrygowało mnie to. Chwilę potem przeszło koło mnie dwóch panów podobnie ubranych, ale dźwigających duże i wyraźnie ciężkie walizy. Poszli za tamtymi.

Nie minął kwadrans, a cała ta scena powtórzyła się. Jeden z braci wyskoczył na chwilę, żeby mi powiedzieć, że Niemcy zwolnią robotników dopiero po załadowaniu jeszcze jednego samochodu. Czekałem więc dalej, podglądając życie ulicy. Od strony Twardej środkiem jezdni szła około dziesięcioosobowa grupa młodych ludzi – w tym i kobiety – ubranych w granatowe, strażackie kombinezony. Niektórzy przechodnie idący z tamtej strony zaczęli uciekać. Po chwili i ja zobaczyłem, że ci „strażacy” są uzbrojeni, a panie mają na rękawach opaski z czerwonym krzyżem

Grupa ludzi w kombinezonach weszła do portierni policyjnej⁴ na Ciepłej. A ja przyglądałem się z daleka metalowej ozdobie w kształcie głowy konia, która wieńczyła bramę wejściową. Z lewej strony znajdowało się wąskie wejście do tej portierni. Chwilę potem wyniesiono i położono przed nim nie ruszającego się granatowego. Coraz więcej ludzi w panice uciekało z tego miejsca, jedni w prawo, inni w lewo, a tu i ówdzie słychać było, że to napad. Wtedy na skrzyżowaniu pojawił się jeden z takich panów w popelinie i spokojnie, ale stanowczo nakazał szybko wracać do domów, bo nie wiadomo kiedy akcja się skończy. Wziąłem nogi za pas i puściłem się biegiem Grzybowską w stronę Żelaznej. Im dalej biegłem, tym mniej było takich jak ja, a coraz więcej ludzi idących spokojnie. Więc zwolniłem. Kiedy doszedłem do rogatek⁵, uspokoiłem się zupełnie. Akurat wtedy przejeżdżał przez to skrzyżowanie duży oddział wojska. Żołnierze byli zmęczeni; jechało wielu rannych, ale byli dobrze uzbrojeni i nadal groźni. Musiałem czekać na jakąś przerwę, żeby przejść przez jezdnię w stronę Kercelego⁶. Potem tylko do Leszna, jeszcze ze sto metrów Okopową i będę w domu. Tak mi się wydawało.

¹ Między Okopową, cmentarzem żydowskim, cmentarzem ewangelickim a ulicą Mireckiego

² Zaskoczył mnie fakt, że właśnie na tej ziemi wybudowano duży budynek ze sklepem meblowym, a pomnik postawiono w znacznej odległości od tego miejsca, w rejonie ulicy Gibalskiego.

³ Fabryka Wilhelm Doering Apparatebau mieściła się prawie naprzeciw naszego domu, przy ulicy Okopowej. Produkowano tam m.in. jakieś części do samolotów. Bracia pracowali tam fizycznie.

⁴ Chodzi o tzw. granatowych czyli polską policję, która w czasie okupacji została podporządkowana władzy hitlerowskiej i przez nią „zreorganizowana”.

⁵ Na skrzyżowaniu Okopowej i Przyokopowej z Towarową, Chłodną i Wolską

⁶ Trzeba pamiętać, że od dłuższego już czasu przejeżdżało przez Warszawę ze wschodu niemieckie i węgierskie wojsko, uciekające przed zbliżającym się frontem. Główny ruch tych wojsk odbywał się właśnie ulicą Chłodną i Wolską. Mój dom znajdował się po drugiej stronie tego traktu, za Placem Kercelego. Przypomnę, że po kolejnym spaleniu bazaru Kercelego już go nie odbudowano i teraz świecił pustką.

Właśnie stamtąd nagle rozległy się strzały i odgłosy wybuchających granatów. Niemcy z transportu ze wschodu zatrzymali się, rozejrzeli, uznali chyba, że nic im nie zagraża i pojechali dalej. Kilku golasów wyskoczyło z basenu przeciwpożarowego¹ i nawet się nie ubierając popędziło w kierunku najbliższych domów. Przechodnie w popłochu uciekali na wszystkie strony. Ja też. Ale musiałem wybrać jedną. Najkrótsza droga, przez pusty plac, była zamknięta, bo tam właśnie strzelali.

Zdecydowałem się pójść do ciotki, która mieszkała w domu Wawelberga na Górczewskiej. Przy Karolkowej stał tajemniczy pan w popelinie (ten już był uzbrojony w pistolet maszynowy) i uspokajał przechodniów. Podobnie jak ten z Grzybowskiej namawiał przechodniów, żeby jak najszybciej wrócili do domów. Zbliżałem się do Młynarskiej, gdy ktoś krzyknął, że od strony Skierniewickiej zbliża się czołg. Wszyscy rzuciliśmy się biegiem w głąb Młynarskiej. Bez tchu wpadłem do bramy na róg Leszna. Znów krzyk, że Niemcy są tuż i zabierają napotkanych ludzi. Okazało się, że byli to Polacy ubrani w panterki, uzbrojeni i zaopatrzeni w białą-czerwone opaski. Dopiero oni wyjaśnili, że to Powstanie, że Niemcy zostaną wypędzeni z Warszawy i że znów będzie wolna Polska. Radość była nie do opisania. Mieszkańcy okolicznych domów przystąpili do budowy barykady w poprzek ulicy Leszno. W głębi Młynarskiej, w pobliżu ewangelickiego cmentarza, widać było wyrzucane z okien meble. Tam też budowano barykadę. Był 1 sierpnia roku 1944.

* * *

Powstańcy przestrzegali, że dojście do domu Wawelberga jest niebezpieczne. Musiałem zrezygnować z planu pójścia do ciotki. Pod wieczór przeszedłem przez barykadę i dalej Leszmem do bramy szpitala. Potem skok przez ostrzeliwaną Karolkową i dalej zupełnie spokojnie doszedłem do ostatniego domu przed skrzyżowaniem z Okopową. Jedno wejście znajdowało się od strony Leszna, drugie wychodziło na Kercelak. Przez nie widziałem kolumnę wojskowych samochodów stojących wzdłuż Okopowej, odgradzającą mnie od domu. Zostałem na noc z innymi nie mogącymi wrócić do domów „rozbitkami”. Mieszkańcy poczęstowali nas kanapkami i gorącą herbatą. Spaliśmy w piwnicy na siedząco.

W nocy – trudno to sobie wyobrazić, ale to fakt – przyciągnięto przed dom wagon tramwajowy. Kto i jak to zrobił – nie wiem. Do rana został przewrócony na bok, stanowiąc później trzon barykady na Lesznie.

Wczesnie rano, jeszcze było szaro, wyjrzałem znów na Okopową, w stronę domu. Ulica była pusta, z daleka dochodziły odgłosy pojedynczych strzałów. Nie miałem na co czekać. Wraz z jeszcze dwiema osobami wyskoczyłem przez bramę i biegłem w poprzek skrzyżowania na skrót. Tuż przed chodnikiem zatrzymałem się zaszokowany widokiem leżącego mężczyzny prawie na pół przeciętego serią z karabinu maszynowego. Steżała krew i sino-żółta twarz prześladowały mnie przez wiele dni.

Krzyk osoby przebiegającej obok oderwał mnie od tego miejsca. Biegłem dalej chowając się we wnętrzach mijanych bram. Sąsiedzi już z daleka wołali: Jak dobrze, że jesteś! Rodzice się martwią. A gdzie twoi bracia? Oni wrócili dopiero za dwa dni.

* * *

Mój ojciec tego dnia, jak zwykle po skończonej pracy, wyszedł z garbarni Pfeifra² i skierował się do domu. Zdziwił się trochę, że ulica jest tak pusta. Na skrzyżowaniu z Dzielną zaskoczyło Go, że z Tytoniowej³ ktoś wyrzucał przez okna jakieś skrzynie i deski na leżący na ulicy duży stos podobnych rzeczy. W pobliżu Kaczej ktoś pochyłony, jakby się przed czymś krył, przeskoczył na drugą stronę ulicy. Ojciec szedł dalej spokojnie, aż do samego domu nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa, bo... niczego nie słyszał. Jak pisałem, od wypadku w 1939 roku systematycznie pogarszał mu się słuch. O wybuchu Powstania dowiedział się dopiero od sąsiadów w bramie naszego domu. W fabryce Doeringa ulokował się jeden z powstańczych oddziałów. Mama wraz z kilkoma sąsiadkami zgłosiła się do prac pomocniczych. Przygotowywały jedzenie dla walczących. Z jednego z pomieszczeń fabrycznych dochodził krzyk i szlochanie, niekiedy wręcz wycie ludzkie. Nie był to ranny żołnierz, a kobieta, Ukrainka, która trafiła tu wraz z mężem, jeńcem wojennym. Mieszkała w jakiejś klitce na terenie fabryki. Rano jej mąż jako kierowca ciężarówki wyjechał. Została tak zupełnie bezradna z kilkuletnim synkiem, w obcym kraju. Pod wieczór mama zabrała ich do naszego domu, nie bez trudu zresztą, gdyż ona upierała się, że musi czekać na męża, bo on na pewno wróci i będzie jej tam szukał. W domu trochę się uspokoiła,

¹ Na wysokości ul. Ogrodowej znajdował się duży zbiornik przeciwpożarowy, a po stronie dawnej poczty, czyli wschodniej, długi żelbetonowy schron. Ten zbiornik latem służył okolicznym chłopakom za bezpłatny basen.

² Garbarnia Pfeifra znajdowała się na Okopowej naprzeciwko cmentarza żydowskiego.

³ Na Dzielnej znajdowała się fabryka papierosów, potocznie nazywana Tytoniową.

a chłopakiem ja próbowałem się zająć. Ojciec, który znał dobrze rosyjski z czasów zesłania¹, pomagał nam się porozumieć.

Chyba w piątek mama wróciła z fabryki wcześniej niż zwykle, zupełnie roztrzęsiona. Opowiadała o rozmowie z pewnym porucznikiem, dowódcą kilkudziesięcioosobowego oddziału, który bronił się na terenie cementarza na Młynarskiej. Po kolejnej akcji do kwatery wróciło tylko kilkunastu żołnierzy, pozostali zginęli. Oficer jako dowódca czuł się odpowiedzialny za ich śmierć i postanowił odebrać sobie życie.

Już wtedy dochodziły nas wieści o okrucieństwach, jakich dopuszczali się żołnierze niemieccy na mieszkańcach Woli. Właśnie w ową sobotę mówiono, że Niemcy zajęli sąsiednią ulicę. W domu zawrzało. Jedni nie chcieli uwierzyć w opowiadania o bestialstwie Niemców i postanowili nie ruszać się z miejsca. Inni, w tym i moi Rodzice, uznali za bezpieczniejsze zostawić mieszkanie i uciekać tam, gdzie – jak mówiono – jest względny spokój, w stronę Starego Miasta. Pamiętam, że część lokatorów skierowała się w stronę Śródmieścia. Ukrainka z synem postanowiła zostać, czekać na męża!

Zanim opuściliśmy dom zdarzyło się coś, co choć nie miało w tej sytuacji żadnego znaczenia i było raczej groteskowe, podbudowało nas nieco psychicznie. Otóż Powstańcy przyprowadzili niemieckiego jeńca. Miał na sobie piękny, wojskowy kombinezon w barwach ochronnych. Ktoś chciał zabrać ten mundur jako cenne trofeum i przebrać żołnierza w cywilne ubranie. Okazało się to niemożliwe, a powód był prozaiczny. Ten „szkop” butny, pewny siebie wśród swoich, wystraszył się nas tak bardzo, że... zapaskudził spodnie.

* * *

Przeczuwałem, że do domu już nie wrócimy i nic nie zostanie z moich „skarbów”, z całego domowego dobytku. Wybrałem garść ze zbioru rodzinnych fotografii, może kilkanaście, skrzętnie zapakowałem i zabrałem ze sobą. Nie wiem dlaczego właśnie zdjęcia i skąd w ogóle 13-letniemu chłopcu przyszło to do głowy. Przecież było w domu wiele innych, nie mniej cennych drobiazgów. Może tamte wydały mi się za duże? Dziś żałuję oryginalnej rosyjskiej bałałajki przywiezionej przez ojca ze zsyłki i pochodzących stamtąd szachów. Były one naprawdę niezwykle – zrobili je bardzo misternie polscy zesłańcy z czarnego i białego chleba.

Z niemałą satysfakcją stwierdzam, że do dziś te parę zdjęć stanowi skromną, a przez to tym bardziej cenną pamiątkę mojego dzieciństwa. Niewiele to, ale jest.

Z tych pamiątek, bezpowrotnie straconych, które zostały tylko w mojej pamięci, chciałbym przywołać jeszcze oryginalny, wyposażony w imponującą tubę nagłaśniającą, gramofon. Urządzenie napędzała sprężyna naciągana korbką. Z posiadanych płyt zapamiętałem piosenkę Wieczorny dzwon, śpiewaną przez chór męski. Podobały mi się zwłaszcza basy, które dudniły jak dzwony w tle sentymentalnej melodii. (Zaś u sąsiadów słychać było z – napędzanego elektrycznie – patefonu: *Leci bombowiec, trójmotorowiec. On nad nami władzę ma. Z góry odpowiada Kraków – Kanada. Bum stradiradira albo Łóżko tyle rzeczy wie. Łóżko nic nie powie, nie. Łóżko takie właśnie ja mam.* Okazało się, że moja pamięć, która wymazała w ciągu kilkudziesięciu lat wiele rzeczy, zachowała właśnie fragmenty tych piosenek).

Zabraliśmy ze sobą parę tobołków i wraz z kilkoma innymi osobami z naszego podwórza przeszliśmy przez dziurę w ścianie spalonej fabryki Webera. Kilka metrów dalej niewiele brakowało a mama nadepnęłaby na niewypał pocisku granatnika. Na szczęście ma on tak charakterystyczny kształt, że w porę go zobaczyłem i ostrzegłem mamę. Przez dziury w ścianach i piwnicach, przeskakując barykadę na Wroniej, przez Żelazną i Leszno doszliśmy do Solnej. Postanowiliśmy zostać na noc w piwnicy jakiegoś domu, w której było jeszcze dość miejsca². Po chwili wbiegło kilku cywilów z krzykiem, że Niemcy są w podwórzu tego domu. Po chwili pojawili się Powstańcy. W panice uciekaliśmy przebitymi w piwnicach przejściami aż do Orlej.

Z dużymi trudnościami doszliśmy do Długiej w okolicy Arsenалу. Domy paliły się po obu stronach ulicy. Szliśmy środkiem zasłaniając się rękami przed żarem buchającym raz z jednej, raz z drugiej strony. Dopiero za Barokową zrobiło się spokojnie. Ludzie nawet przechadzali się po ulicy. W lepszym nastroju przeszliśmy przez plac Krasińskich w stronę Bonifraterskiej. (Mieliśmy znajomych na Bielanach). Odgłosy strzelaniny dochodziły od strony wiaduktu nad torami kolejowymi dworca Gdańskiego. Doszliśmy do częściowo zniszczonych murów getta. Nieliczni żołnierze usiłowali uspokoić wygłodzonych cywili przepychających się w stronę Stawek, gdzie – jak mówiono – były świeżo zdobyte magazyny pełne żywności. Kilka pocisków armatnich, które upadły w pobliżu, wypłoszyło nas stamtąd.

¹ Mój dziadek za działalność niepodległościową (na początku wieku) zesłany został do dalekiej Rosji, dokąd wywieziono go z całą rodziną

² Ulica Solna to fragment dzisiejszej alei Jana Pawła II. Zachował się jeden dom z tamtych czasów, blisko kina Femina. To w nim właśnie jak sądzę skryliśmy się wtedy.

Nawet nie próbowaliśmy dostać się do tych magazynów. Zawróciliśmy. Przed kościołem garnizonowym skręciliśmy w stronę Freta. Tu był błogi spokój. Nawet jakiś sklep był otwarty. Zaczęliśmy schodzić Mostową w dół. Ale gdzie pójdziemy dalej? Dalej była Wisła.

Sztukasy usłyszeliśmy przy szóstym czy siódmym domu licząc od Freta. Wbiegliśmy do jakiejś bramy, a potem wpadliśmy do piwnicy. Była tak niska, że nawet ja musiałem się schylić, by nie nabić sobie guza. Był straszny tłok. Pośród Ojciec nasz i Zdrówas Mario usłyszeliśmy narzekania, że i tak jest tu ciasno bez obcych i że powinniśmy siedzieć w domu zamiast włóczyć się po mieście. Upadły pierwsze trzy bomby. Nastąpiła znana już nam chwila przerwy – samoloty okrążyły bombardowaną okolicę. Nie czekając na dalsze narzekania wyskoczyliśmy na ulicę, pobiegliśmy w górę i ledwo zdążyliśmy wpaść do jednej z bram, kiedy wszystko zatrzęsło się dookoła. Pierwszy wybuch był bardzo blisko, drugi już trochę dalej, więc trzeci tym bar dziej nam nie zagrażał. Wyjrzelśmy z bramy – dom, z którego uciekliśmy, zniknął. Wszyscy, którzy kryli się w jego piwnicy, zostali żywcem pożrebrani.

* * *

Wróciliśmy na Długą. Weszliśmy na podwórze trzypiętrowego domu. Chyba z numerem 8. Dobrze je pamiętam. To było typowe podwórze-studnia. Z lewej ślepa ściana sąsiedniej posesji, z prawej oficyna a w budynku naprzeciw bramy przejście na drugie podwórko, w którym – jak się później okazało – był warsztat stolarski. W części frontowej z prawej było mieszkanie dozorczy, z lewej – wejście do piwnicy (zresztą bardzo przestronnej). Nikt nas nie wypędział, przeciwnie – mieszkańcy domu zachęcili nas do zatrzymania się w tej piwnicy. Słyszeli co dzieje się na Woli. Początkowo nawet przynosili nam co nieco do jedzenia. Spało tam około 30 osób, oczywiście pokotem na podłodze. Tak przetrwaliliśmy do kapitulacji Starówki, to jest do 2 września.

Jedno piętro zajmował kilkudziesięciosobowy oddział Powstańców Armii Krajowej. Prawie każdego wieczoru odbywała się ceremonia słuchania przez radio wystawione w oknie dowództwa oddziału wiadomości z Londynu, poprzedzanych chorałem (Z dymem pożarów...). Ta muzyka wywoływała protesty oburzenia, bo wszyscy chcieliśmy zachować nadzieję, a nie rozpaczać. Od połowy sierpnia do tych wieczornych wiadomości ze świata dołączyło głucho dudnienie artylerii od strony Pragi. I to one dawały nam prawdziwą nadzieję. Któregoś wieczoru ktoś głośno mówił o tym na podwórku. Dowódca akowski ostrym głosem kategorycznie wykluczył możliwość jakiegokolwiek współpracy z komunistami. Powstańcy sami wyzwolił Warszawę i powołają swój rząd. Cywile nie mieli już takiego entuzjazmu, jak w pierwszych dniach Powstania, więc wyrażali swoje niezadowolenie. Była wtedy scena strzelania na postrach w asfalt i nawet przypadkowego skaleczenia stojącej w pobliżu kobiety.

Moi bracia za wykonywanie rozmaitych prac pomocniczych dla tego oddziału Powstańców, m.in. za pomoc w przenoszeniu zaopatrzenia z Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych na Sanguszki, dostawali suszone kartofle. Można je było jeść również na surowo. Czasami trochę cukru, a kiedyś nawet chleb i żyto (które gotowaliśmy jako kaszę). Gotowało się na podwórzu, na „kuchni” utworzonej z dwóch cegieł. Na tym stawało się garnek, a pod spodem rozpałało ognisko. Drewno braliśmy z warsztatu stolarskiego z drugiego podwórza.

Tam, na parterze, miał swoją kwaterę kilkusobowy oddział wojska ludowego, jak wtedy mówiono „z lasu”. Raz w czasie przyjęcia weselnego partyzanckiej pary (na które zaproszono też akowców) miała miejsce awantura z wyzwickami od czerwonych bolszewików i zgniłych kapitalistów. Ale na barykady chodzili w zgodzie.

Około połowy sierpnia Powstańcy przyprowadzili krowę – prawdziwą, żywą krowę. Biedne zwierzę nie miało żadnych szans. Zbyt dużo głodnych czekało na kawałek mięsa. Została zastrzelona i podzielona na naszych oczach, na tym podwórzu. Oczywiście i my, cywile, dostaliśmy trochę. To było wielkie święto.

Mama często pomagała przy opatrywaniu rannych. Pewnego dnia zabity został żołnierz oddziału z tego podwórka, chłopak niewiele ode mnie starszy, którego widziałem parę dni wcześniej dźwigającego na ramieniu zdobyczny karabin, o wiele za duży na niego. Chłopiec został pochowany ze wszystkimi honorami na skrawku ziemi obok warsztatu stolarskiego. Żegnali go koledzy z oddziału i prawie wszyscy mieszkańcy kamienicy, łącznie z nami, uciekinierami. Mama zajęta przy rannych nie mogła wziąć udziału w pogrzebie. Powiedziała, że przyjdzie się pomodlić następnego dnia. Nie zdążyła. Następnego dnia, wcześniej rano był tam już tylko głęboki lej po pocisku. Po tym niezwykłym żołnierzu pozostała pustka i może, przechowywane w pamięci paru osób, wspomnienie. Kiedy przechodzę dziś Podwalem koło Pomnika Małego Powstańca, o nim właśnie myślę.

* * *

Krótko po tym tragicznym dniu, podczas układania opału do gotowania posiłku, usłyszeliśmy zgrzyt szafy¹. Obliczaliśmy, że około dziesięciu pocisków powinno się znajdować w powietrzu i uciekliśmy biegiem do piwnicy. Od usłyszenia tych zgrzytów do wybuchu upływało sporo czasu, co najmniej kilkadziesiąt sekund. To wystarczało, aby się ukryć. Czekaliśmy w napięciu dość długo, stojąc w drzwiach piwnicy, a wybuchów nie było. Pomyśleliśmy, że tym razem strzelali w stronę Żoliborza i że nie słychać wybuchów, bo wiatr wieje w inną stronę. Na podwórze wyszedł mój tata, ja i jeszcze jakiś pan. Trzymałem grubą deskę, a tata zamachnął się siekierą, żeby ją przerąbać, kiedy rozległ się ogłuszający huk. Dym, kurz, błysk wypełniły podwórze w ułamku sekundy. Skurczyłem się, jakby to miało mnie ochronić i wtedy poczułem szarpnięcie. Ojciec ciągnął mnie w stronę piwnicy. Poderwałem się. Zobaczyłem jeszcze przed sobą olbrzymią kulę ognistą, która rozpadła się pod moimi nogami, dopadłem pierwszego schodka prowadzącego do piwnicy i ocknąłem się już na dole w ramionach ojca. Nikomu z nas nic się nie stało, nie licząc drobnych skaleczeń na łydkach i rękach. W chwilę potem ucichło i można już było wyjść. W powietrzu snuł się nieprzyjemny zapach środka zapalającego, który wypełniał pociski. Uderzyły nie gdzieś tam, dalej, a TU, w NASZ dom. Wszyscy biegli gasić pożar w głębi podwórza. Część kamienicy rozwalona była aż do parteru, ale nikomu nie stała się krzywda. W miejscu, gdzie staliśmy z ojcem w chwili wybuchu stała wbita w ziemię gruba stropowa belka. Przypadek? Szczęście? Może zupełnie coś innego...

* * *

Pamiętam budowę barykady w poprzek Długiej, pomiędzy placem Krasińskich a Kilińskiego. Nosiłem wtedy z kolegami płyty chodnikowe. Były ciężkie, ale nosiliśmy ich dużo. Wracając zdobyłem... czy znalazłem, a może ukradłem – dziś nie potrafię tego nazwać – tłuczek do kartofli z miejsca, w którym jeszcze kilka dni wcześniej znajdował się sklep z artykułami gospodarstwa domowego. Przestał istnieć wraz z całym narożnikiem domu. Ta „zdobycz” nie miała zresztą żadnej wartości praktycznej, bo nie było co tłuc.

Przechodziliśmy z chłopakami z podwórka koło tej barykady jeszcze raz, kiedy dowiedzieliśmy się o zestrzeleniu samolotu niosącego pomoc dla Warszawy. Samolot spadł na Miodową. Nie pozwolono tam iść, był to okres, w którym nie można już było swobodnie przechodzić przez plac Krasińskich.

Z zupełnie innego powodu nie pozwolono nam obejrzeć skutków wybuchu czołgu-pułapki na ul. Kilińskiego. O tym, co tam się działo dowiedzieliśmy się od mężczyzn, którzy pomagali zbierać zabitych po tej tragedii. Nawet im, dorosłym, trudno było o tym mówić. Oni zbierali nie ludzi, a fragmenty ciał rozsianych przez wybuch.

W drugiej połowie sierpnia podczas nocnych zrzutów alianckich oglądaliśmy niebo w prostokącie naszego podwórka-studni. Widok był urzekający, pomimo dramatyzmu chwili. Niebo przecinały snopy światła reflektorów, rzadko zatrzymujące się na jaśniejących sylwetkach samolotów i przelatujące w różne strony kolorowe pociski świetlne. Tam na górze rozrywały się pociski dział przeciwlotniczych. Czasem po dachach stukotały spadające jak grad odłamki. Jeden z nich, mały i jeszcze gorący oparzył mi rękę. Przez wiele lat nosiłem go jako talizman, ale gdzieś się zapodział.

* * *

Pierwszego września 1944 roku na dogorywającej Starówce już ani przez chwilę nie myślałem o szkole. Chęć poznania jednak pozostała. Kiedy zobaczyłem otwarty kanał na jezdni ulicy Długiej, postanowiłem sprawdzić jak tam jest. Na dole ktoś był, widać było dość jasne, migające światło. Nikt tego wjazdu nie pilnował, więc wsunąłem się do środka, zszedłem 2, może 3 metry i spojrzałem w górę. Sobą zasłoniłem to światło na dole, było ciemno i ciasno. Nad głową zobaczyłem małe kółko jasnego nieba, bardzo małe kółeczko. Nie starczyło mi odwagi, aby zejść głębiej; Czekający na górze koledzy z podwórka w ogóle zrezygnowali z pogłębiania wiedzy o kanałach.

* * *

Drugiego września obudziła nas dziwna cisza. Nie było słychać ani dział, ani samolotów, ani strzałów karabinowych. Ktoś przyniósł wiadomość, żeby wychodzić z białą chusteczką w podniesionych do góry rękach. Reszta Powstańców poprzedniego dnia przeszła kanałami do Śródmieścia. Podeszliśmy do Freta, w kierunku PWPW², ale ulicy już nie było. Domy po obu stronach były całkowicie zburzone, szliśmy po gruzach, spod których bardzo rzadko wyzierała jezdnia. Wielu ludzi płakało. Nie było

¹ Nazywanej również krową. Był to znany nam odgłos wyrzutni pocisków burzących lub zapalających.

² Czyli Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych na Sanguszki

miasta, a tylko pustynia z kikutami pojedynczych ścian i kominów. Wszędzie unosił się ostry swąd spalony.

Zaskakujący był obraz ukrytego przy grubym murze powstańca i stojącego po przeciwnej stronie tego samego muru niemieckiego żołnierza. Doszliśmy do fortu Traugutta i za budynkiem z czerwonej cegły kazano nam się zatrzymać. Przed nami, na małym wzniesieniu znajdowało się stanowisko ogniowe artylerii. Od strony Starego Miasta bez przerwy dochodzili do nas nowi ludzie. Wydawało się dziwne, że aż tyle ludzi uchowało się w takich ruinach. Na bardzo małej wysokości przeleciał nad naszymi głowami sztukas, tym razem tylko strasząc. Żołnierze z obsługi działa zaśmiali się. Niepiesznie ładowali pocisk za pociskiem i strzelali w stronę Starego Miasta. Wiedzieliśmy – i oni też dobrze to wiedzieli – że tam już nikogo nie ma. Stojąc za działem patrzyłem na cień lecącego pocisku, a potem, po kilku sekundach na unoszące się w powietrze belki, kawałki dachów i inne szczątki naszych dawnych domów, domów naszych sąsiadów i krewnych, domów, które na naszych oczach przestawały istnieć.

Potem popędzili nas przez Stawki, obok doszczętnie spalonych magazynów wypełnionych puszkami z mięsem, do Okopowej. I wtedy właśnie zobaczyłem mój dom. Był spalony. Całkowicie. Od piwnic aż po dach. Wypalone mury. Szliśmy razem, mama, tata, moich dwóch braci i ja. I nikt nie powiedział ani jednego słowa. Milcząc mijaliśmy to, co zostało z naszego domu.

* * *

W kościele św. Wojciecha na Wolskiej odbyła się rewizja. Osobista również. Byłem zaszokowany widokiem kościelnego wnętrza wypełnionego koczującymi ludźmi. Wielu leżało na posłaniach ze szmat. Na przykościelnym dziedzińcu było podobnie. Wkrótce przeszliśmy w stronę dworca Zachodniego, załadowano nas do pociągu i zawieziono do Pruszkowa. Pamiętam, że przy przejeździe drogowym – kiedy szliśmy z pociągu do Zakładów Naprawczych Taboru – kilka osób czmychnęło na drugą stronę szlabanu i wmieszało się w stojący tam tłum ludzi, chyba mieszkańców Pruszkowa. Udało im się uciec.

Po prawej stronie, za bramą wejściową stał piętrowy, murowany budynek, z okien którego słychać było śpiew „Lili Marlen”¹. Stamtąd przyglądali się nam niemieccy żołnierze. Jeden z nich w stronę przechodzącego tłumu rzucił kilka bochenków chleba. Wydaje mi się, że zrobił to w ludzkim odruchu współczucia.

W kanałach hal, gdzie kiedyś naprawiano wagony i na betonowych podłogach gnieździł się ludzie, wśród nich dużo chorych i rannych. Co pewien czas podstawiano pociągi towarowe, do których kierowano ludzi posegregowanych według widocznej kondycji i wieku. Wtedy oddzielono od nas najstarszego brata. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, co się z nim stało. Zabrano go do Dachau, do obozu pracy. Uciekł stamtąd wczesną wiosną 1945 r., dostał się do II Korpusu generała Andersa, potem do Anglii. Żyje do dziś w dalekim, obcym kraju, który stał się z konieczności jego drugą ojczyzną.

Naszą czwórkę wywieziono – pamiętam, że przez Katowice i Bogumin – do jakiegoś obozu przejściowego. Tam jeszcze raz nas segregowano, pozwolono umyć się pod prysznicem i pozbawiono włosów. Kobiety, Niemki, goliły także mężczyzn. Głośno wymieniały jakieś uwagi i śmiały się. Kiedy trafił się mężczyzna obdarzony przez naturę wyjątkowo dużym penisem, zbierały się przy nim wszystkie i oglądały jak zwierzaka w zoologicznym ogrodzie. Po kąpieli wszystkim dorosłym zrobiono fotografie en face i z profilu, a potem – jeżeli dobrze pamiętam – przyjeżdżali wozami konnymi niemieccy chłopcy i zabierali po kilka osób do swoich gospodarstw. Z tego obozu został mi żelazny numererek, za który dostawało się posiłek. Czy nie starczyło dla mnie, czy z jakiegoś innego powodu go nie odebrałem... nie wiem.

* * *

Nas, całą czwórkę, przewożono z miejsca na miejsce, aż wreszcie na dłużej zostaliśmy w miejscowości Krondorf Warta (na terenie dzisiejszych Czech). Przez całą zimę 1944/1945 pracowaliśmy tam w wytwórni wód mineralnych. Rządził tu niejaki Glass (trzeba było mówić: Herr Glass), były uczestnik walk na wschodzie, gdzie został inwalidą (stracił rękę w płonącym czołgu). Krzyczał, wyzywał nas od Polnische banditen, groził, że pobije za jakiegokolwiek „wykroczenie”, ale nigdy nikogo nie uderzył.

W sąsiednich pokojach w baraku mieszkali Rosjanie i Ukraińcy. Początkowo pracowałem przy układaniu schodzących z taśmy skrzynek z wodą. Dopóty dopóki nie zdarzyło się, że nie zdążyłem zdjąć

¹ Pozostał w pamięci fragment okupacyjnej, ulicznej wersji tej piosenki: Tam przed kasarną blisko Wielkich Radl Tam stała laterna, długo budiet stać/ Tam z tobą dziewica postać chce/ Kak prijdiet wiecier, kak prijdiet dień/ Kak raz Lili Marlen (bis)

kolejnej zjeżdżającej z taśmy skrzynki. Za chwilę na nią spadła następna, dużo butelek się potłukło. Zrobiła się straszna awantura.

Przeznaczono mnie do pomocy pewnemu garbatemu robotnikowi, który krajzegą¹ ciął bukowe pnie na kilkucentymetrowe plastry. Potem siekierą rozdrabnialiśmy je na kostkę, która stanowiła paliwo do samochodu, napędzanego tzw. silnikiem na holzgas².

Droga dojazdowa do tej wytwórni na długości kilkuset metrów obstawiona była z obu stron setkami skrzynek (z butelkami przeznaczonymi do napełnienia) niczym wysokim płotem. Pewnego ranka (było to w początkach 1945) przenosiłem coś na koniec tej alei skrzyń, gdy minęła mnie grupka małych dzieci, chyba z przedszkola, pod opieką dorosłej kobiety. Po chwili spostrzegłem wciskającego się pomiędzy skrzynie chłopaka, który pewnie odszedł na stronę za swoją potrzebą i teraz chciał dogonić grupę. Nie wiedziałem czego się tak boi. W końcu zrozumiałem, że strach paraliżował go z mojego powodu. Dopiero kiedy minąłem go i oddaliłem się kilka kroków, wystrzelił jak z procy i pobiegł do swoich. Dzieci wiedziały, że tu pracują obcokrajowcy i zapewne zostały nauczone, że są to ludzie nie tylko „gorsi”, lecz także bardzo niebezpieczni.

Nie wolno było opuszczać terenu obozu, ale ponieważ brakowało jedzenia często z bratem przechodziliśmy przez most i prosiliśmy o jakąś pracę w okolicznych gospodarstwach. Pamiętam, że we młynie potraktowano nas życzliwie. Przychodziliśmy tam w wolnym czasie, raz pociąć sieczkę dla koni, innym razem posprzątać cały młyn, kiedy indziej podwórze. Za tę pracę dostawałem bochen chleba, który przynosiłem do baraku jak jaki skarb, chowając pod bluzą – jak to dziecko żydowskie wtedy w Warszawie.

Kiedyś, wracając z tej dodatkowej pracy, zauważyłem w niewielkim strumyku, już niedaleko baraku, w którym mieszkaliśmy, utopionego kurczaka. Sprawdziłem tylko jego zapach, ale na szczęście nie zdążył się zepsuć i dumny przyniosłem to trofeum do domu. To było duże święto – zjeść kurczaka, kiedy gotowano nam suszoną brukiew z jakimś innym suszonym „zielskiem” nie do zidentyfikowania. Żałuję, że tylko raz trafiła się taka gratka.

* * *

Coraz częściej przelatywały nad nami do nie znanych celów olbrzymie ilości alianckich samolotów. Lotnicy chronili się przed niemieckimi radarami wyrzucając z góry mnóstwo pociętej na drobne paseczki metalowej folii. Na Boże Narodzenie choinkę zrobiliśmy z kilku gałązek sosny. Właśnie to zbierane w lesie sreberko stało się lametą, jedyną ozdobą naszej choinki. Smutne to były Święta. Wigilię zakłócił jeden z pracowników zakładu, wyciągając z baraku mnie i brata, każąc nam wyrąbać lód z ujęcia wody pitnej dla przyzakładowego osiedla. Ale kiedy wróciliśmy po tej robocie w naszym baraku był gość: pan Tadeusz – nie pamiętam nazwiska – Polak, który gdzieś w pobliżu pracował, a do naszego obozu przychodził w charakterze fryzjera. On przynosił nam wiadomości ze świata czyli z frontu i... nadzieję. Był dla nas duchową podporą. Myślę, że to od niego nauczyliśmy się śpiewać tę piosenkę:

Tam, gdzie dachy słomą kryte pośród drzew,
Tam, gdzie jasne słońko wita ptasząt śpiew,
Tam, gdzie Wisła płynie, wiosną szumi gaj,
Tam jest ma ojczyzna, tam jest polski kraj. *bis*
Jeśli nie wiesz co tęsknota, co to ból,
Jeśli pragniesz mieszkać pośród łąk i pól,
To pojedź do Niemiec, tam przekonasz się,
Co to jest tęsknota do ojczyzny swej. *bis*

Pozostały w pamięci słowa i melodia tej piosenki. W 1998 roku w programie telewizyjnym o Niemcach mieszkających kiedyś w Gdańsku usłyszałem piosenkę o ich tęsknocie za utraconą ojczyzną, śpiewaną na tę samą melodię!

* * *

W miarę zbliżania się wiosny, a głównie jednak frontu wschodniego, coraz częściej drogą prowadzącą obok przejeżdżało mnóstwo „wypędzonych” z – jak wynikało z napisów na transparentach – Warthegau. Z terenów, które ja nazywam Wielkopolską, wypędzał ich strach przed Rosjanami. Wojna

¹ Piłą tarczową

² W czasie wojny dla zaoszczędzenia paliw płynnych opracowano (i wykorzystywano) silniki napędzane gazem, który wytwarzany był z drewna w specjalnym piecu (kotle) przymocowanym do samochodu tuż za szoferką. Stąd nazwa holzgas.

trwała jeszcze. Dobrze wypasione konie z ledwością ciągnęły wozy wyładowane do granic możliwości wszelkiego rodzaju dobytkiem. Nasi zarządcy stawali się coraz bardziej nerwowi. Widać było rozprężenie. Poinformowano nas o przeniesieniu dalej na zachód. Rodzice dostali do ręki dokumenty „pracownicze”, bilety kolejowe i (o dziwo!) bez jakiegokolwiek nadzoru kazano nam jechać do Saaz, miejscowości oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od Karlsbadu.

W drodze mama zdecydowała się zniszczyć moje papiery i odtąd występowałem – nie bez oporów późniejszych zarządców – jako dziecko, nie nadające się jeszcze do pracy. Angażowano mnie tylko wyjątkowo, przeważnie do prac porządkowych.

* * *

W Saaz trafiliśmy do cegielni, zarządzanej przez herod-babę, niejaką Kajzerową. Trzęsła ona całym majątkiem pod nieobecność męża, który oczywiście był na froncie.

Tu z jedzeniem było bardzo kruczo, jeszcze gorzej niż w poprzednim zakładzie. Wszyscy (poza mną) pracowali za niewielkie pieniądze i dostawali kartki żywnościowe, które sami realizowaliśmy w mieście. Było już ciepło – może w kwietniu – kiedy ojciec zabrał mnie na takie zakupy. Niewiele tego było. W końcu weszliśmy do piekarni. Przy ladzie stało w kolejce wielu miejscowych Niemców w oczekiwaniu na pachnący, ciepły, akurat przynoszony z zaplecza chleb. I wtedy stała się rzecz dla mnie niepojęta. Ojciec przechylił się nad bocznym kontuarem, sięgnął na najbliższą półkę i zgarnął jeden, a potem drugi piękny, duży bochen chleba. Widział to tylko jeden z małych niemieckich dzieciaków, uczepiony matczynej spódnicy. Ojciec pogroził mu ręką, gestem nakazał milczenie i wolno skierował się do wyjścia. Bez słowa poszedłem za Nim. Szliśmy ulicą szybkim krokiem, ale nie biegnąc. Ulica tym razem wydawała się dłuższa niż zwykle, nieskończenie długa... Udało się. Nikt nas nie gonił. Tata zarządził, że w domu zrobimy niespodziankę. Nic nie mówiąc, usiadł za stołem, odkroił dużą piętę dla mnie, grubą pajdę sobie, następną podał mamie... Przestraszona nie chciała usiąść. Zaczęły się wymówki, że nie starczy na jutro, a już tym bardziej na następne dni. Wtedy ojciec wyjął z za pazuchy jeszcze jeden bochen i nie tknięte kartki na chleb. Muszę dodać, że jedząc ten chleb nie miałem żadnych wyrzutów sumienia z powodu kradzieży.

W pierwszych dniach maja już zupełnie nie było co jeść. Pamiętam, że mama znalazła gdzieś obierki kartoflane, umyła je i upiekła w brytfannie. Zjedliśmy, nic lepszego nie było.

W przeddzień wejścia Rosjan Kajzerowa zaprzęła do wozów woły, załadowała je wszystkim, co było cenne i uciekła, zamknąwszy w komórce swoją służącą Rosjanekę.

* * *

Po wejściu Rosjan pierwsze i najważniejsze było to, że mogliśmy się najeść do syta. Mama pilnowała, żeby nie obciążać zbytnio organizmu, żeby stopniowo zwiększać porcje. Wielu ciężko chorowało z przejedzenia.

Żołnierze rosyjscy strzelali z karabinu sportowego do wystawionego na podwórzu dużego portretu Hitlera. I mnie pozwolili strzelić kilka razy. Cieszyłem się z samego strzelania, bo było to pierwszy raz w życiu, a poza tym, że do Hitlera. Mogłem sobie wreszcie strzelić do niego.

* * *

15 maja wyruszyliśmy w drogę. W stronę domu, w stronę Polski. Do Warszawy dotarliśmy wreszcie w końcu maja. Zapach spalonego miasta poznaliśmy już kilka kilometrów przed dworcem Zachodnim. Wiedzieliśmy, że miasto jest zniszczone, a mimo to bardzo przeżyliśmy pierwsze przejście przez nie. Najpierw do Alej Jerozolimskich, potem Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem do Nowego Zjazdu. Zatrzymaliśmy się przed zerwanym przesłem wiaduktu Pancera. Musieliśmy wrócić do Karowej. U jej wylotu, nad Wisłą wspinał się do góry drewniany most¹ ozdobiony tryumfalną bramą z portretami powojennych przywódców Polski. Na szczycie mostu odwróciłem się i spojrzałem na Warszawę, na pustynię gruzów, która ani na chwilę nie przestała być moim miastem.

Nie mogę nie dodać, że chyba właśnie wtedy, mojego pierwszego dnia pobytu w Warszawie, widziałem egzemplarz Życia Warszawy z rysunkiem² powracającego z tułaczki warszawiaka. Klęczącego przed gruzami, które ze współczuciem pochylają się nad nim.

Praga nie była zniszczona, przynajmniej nie tak jak Warszawa lewobrzeżna. Dotarliśmy do Stryja na Stalową. Dom stał, rodzina przeżyła. Przed nami dotarła tam z tułaczki babcia i ciocia z córką, więc dla

¹ Most Wysokowodny łączył ulicę Karową z Brukową czyli dzisiejszą Okrzei

² Bronisława Linkego

nas nie starczyło miejsca. Pamiętam, że ktoś mieszkający na Pradze opowiadał jak strasznie przeżywał Powstanie: Wcale nie mogliśmy spać! Cały czas te pociski i wybuchy po drugiej stronie Wisty!

Ostatecznie znaleźliśmy na ul. Radzymińskiej przyrodnie siostry mojej mamy, które przyjęły nas z otwartym sercem w swoim 12-metrowym pokoju. Mieszkaliśmy tam – jeżeli można tak nazwać pobyt siedmiu osób na takiej powierzchni – przez około trzy tygodnie.

* * *

Na stałe zamieszkaliśmy w spalonym, pustym mieszkaniu bez tynku, a właściwie w czymś, z czego wspólnymi siłami zrobiliśmy w ciągu kilku lat prawdziwe mieszkanie¹.

Wkrótce zobaczyłem co zostało z mojej szkoły, tej sprzed wojny. Spalono ją doszczętnie w czasie Powstania. Na fotografii widać tylko wejście, a właściwie miejsce, w którym to wejście kiedyś było. Stoję tam z mamą. Jesteśmy oboje naprawdę chudzi.

Na ścianie mojej ostatniej okupacyjnej szkoły obok cyrylicą napisanego *min niet* i wyskrobanych w tynku informacji o tych, co przeżyli, dodałem: Żyję, mieszkam z rodziną przy ulicy...

Taki był mój początek końca wojny, początek powolnego powrotu do normalności.

* * *

Jedna z moich koleżanek szkolnych zamieszkała z rodzicami nie opodal szkoły w łukowato sklepionej bramie. Obok wznosiły się wysoko pionowe ściany pozostałe po zawaleniu się stropów. Silny wicher² rozchwiał te niczym nie związane mury i przewrócił je na bramę, która nie wytrzymała takiego uderzenia, zawałiła się grzebiąc odrabiającą lekcję dziewczynę. Była wysoka, szczupła, z gładko uczesnymi, ciemnymi włosami – nie pamiętam nawet jak się nazywała... Udało jej się przeżyć całą wojnę, nawet Powstanie, ale nie dane jej było dożyć dorosłości, macierzyństwa, radości... Dlaczego? Przecież wojna już się skończyła! A to było jeszcze jednym, bezsensownym jej zniwem.

* * *

Wiele lat później, w 1994, zdarzyło mi się wyjechać do zachodniej Europy. Jechałem pociągiem przez Niemcy: schludne, sterylnie czyste i bogate. Dobrobyt widać było nawet z okna wagonu kolejowego. W Kolonii zrobiłem sobie małą, kilkugodzinną przerwę w podróży i po raz pierwszy od tamtych czasów znalazłem się w miejscu, gdzie dookoła mówi się po niemiecku. Chciałem zobaczyć centrum miasta, a przede wszystkim katedrę, która niemal przylega do dworca. Budowla emanuje prawdziwą starością – nie taką jak warszawskie Stare Miasto, stare tylko z nazwy, bo odbudowane z gruzów kilkadziesiąt lat temu. W kościele był szum, swobodne, głośne rozmowy, flesze aparatów fotograficznych i nic z atmosfery skupienia. Nagle spostrzegłem, że sporo ludzi wchodzi gdzieś po schodach. Poszedłem tam i ja. Na górze okazało się, że to chór. Kiedy już miałem schodzić, ukłoniła mi się jakaś pani w starszym wieku, biorąc za „swojego”. Skinąłem głową w odpowiedzi i czmychnąłem w dół. Zarejestrowałem jedynie, że większość tych ludzi była starsza niż ja. I wtedy właśnie zadałem sobie pytanie – czy któryś z nich był w czasie swojej młodości w moim Kraju? Byłem zdziwiony tym niespodziewanym skojarzeniem, ale stało się. Pytania pędziły dalej... A może to któryś z tych gładko wygolonych, siwiuteńkich panów podpalił mój dom, zabił mojego dziadka...? Kiedy schodziłem po schodach zabrzmiały organy, po chwili usłyszałem pierwsze tony chóralnego śpiewu. Nie mogłem modlić się razem z nimi. / odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy... – brzmiały mi w uszach fragmenty pacierza, którego nauczone mnie w dzieciństwie. Nie mogłem. Wyszedłem z kościoła. Co trzeba zrobić, żeby móc wybaczyc?

¹ Na bliskiej Woli, niedaleko miejsca, w którym stał nasz przedwojenny dom.

² W 1946 roku przez Warszawę przeszła silna wichura.